

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 15 maja 1909 r.

№ 20.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

9

Powieść historyczna.

### III.

Słońce już całą falą swych żółtych, jesiennych promieni biło ku jasnym murom liksnańskiego pałacu, a Grużewski jeszcze, w głębokim śnie pogrążony, jakąś cudną marę roił. Marę tak cudną, tak rozkoszną, iż, gdy nakoniec światło południa między powieki śpiącego się przedarło, gdy zgasilo uludę rzeczywistości. Juliusz całą budzącą się przytomnością chciał ją gonić, chciał ściagać.

Tak, tak, jechał z nią, w dal błękitną mknął, mknął, a róże kłaniały się im do ziemi... Aż hen, w dali zrąb zamku się ukazał... a potem... Tak, zrąb zamku był czerwony... mocno czerwony... Nie, nie tak! Mknął w dal błękitną po drodze, różami bramowanej... aż tam, kędy zamek zębem swoim czerwonym... bardzo czerwonym...

Juliusz zachnął się i silniej powieki zwarł, aby lepiej się pogrążyć, aby ująć złośliwemu widzeniu, które mu zrąb zamku zaczarowanego przeobrażało w wielki, guzowaty nos. Lecz ledwie myślą zamku sięgnął, ledwie zrąb czerwonego muru sobie wystawił, ten wnet kształty potężnego, szpetnego nosiska przybierał.

Zniecierpliwiony tem upartem widzeniem, Grużewski rozwarł po-

wieki i spojrzął przed się. Ba, ale nosisko guzowate, miał zniknąć mu z przed oczu, na dobre się rozpostarło i nawet parą miotlastych wąsów mu się skłoniło.

Juliusz odchrząknął. Nochal fyrknął jowialnie.

— A bodajże dobrodzieja! Najtęższy susał w spaniuby ci nie strzymał! A co, nie poznajesz mnie? Półnos jestem, ten z Pikieli, co nad Łuszą...

— Pan Półnos.

— No tak, dwóch takich niema.

Grużewski rozejrzął się niepewnie dokoła, a nie mogąc uprzytomnić sobie, jak się znalazł w tej obcej mu komnatce, potarł czoło.

— Widzę, że dobrodziejowi jeszcze do poduszki tęskno! A przecież powiadał mi imię tutejszy marszałek, żeś już drugiego dnia zarwał!

— Drugiego dnia!

— A no tak, kalkuluj dobrodziej... Kiedyżeś mię racyzył w Iłukszcie? pozawczoraj! Widzisz! Byłem pewien, że u pana Karnickiego w Landskoronie już gościny zażywasz lub, co mi się barzej zdało, gdzie na uboczu przycupnąwszy, koperczaki smalsz! Dobrodziej tymczasem na cztery mile mierzył, a o stajanie trafił. Chlust, do wody

nurka i siup—do Liksny. No, no, niema co, niema co. Zawsze trafił tęgo. Bo tu niejedyn i rok wokół Liksny się szasta, a do drzwi nie trafi. Juści! Nie sądzi jeno dobrodziej, że z pychy taka tu klauzula. Prawdę rzekłszy, zadość jest antenatów i senatorów, aby się i w pychę zabawić, ale nie ona tu wstępu broni, nie ona...

Półnos dalej prawił o Liksnie, o grafach Zybergach i Platerach, wyliczał ich włości, wymieniał zamki, krociami móg sadził, koligacjami całe ogarniał Inflanty.

Grużewski koldrę nasunął i, nie troszcząc się o wywody Półnosa, znów sen jakiś uprzytamniać sobie zaczął, sen groźny, ponury. I tym razem pamięć nie odmówiła mu ani jednego drgnienia, tym razem obrazu układały się posłusznie.

Noc ciemna, wietrzna, przepastna. Konie rwały, jak szalone, drogą poprzez lasy, wśród złowrogięgo poszumu rozkołysanych drzew.

A jemu serce łomotało szczęściem nieznanem, a jemu dusza grała rozradowaniem. Gwałtowny, spazmatyczny ruch bryczki zniewolił ją do szukania oparcia, do pochylenia się ku jego ramieniowi. I czuł, czuł ją tuż przy sobie. Szczęście! Niekiedy konie wspinały się ze-

strachane i ponosiły, jakby bryczkę w drzazgi rozbić chciały, niekiedy, z poza krzów przydrożnych błysnęła para ślepi zielonemi skrami, niekiedy wicher zawył potępińczym chichotem. A jemu różę się kłaniały, a jemu lilie pozdrowienia słały rozchylonemi do pocałunku kielichami, a jemu czarna dal błękitami wschodziła...

A potem nagle konie zaryły się w ziemię i stanęły.

Chciał prosić, aby mknęły jeszcze, aby wiozły ich w dal, w dal, tą już tak blizką, tak blizką...

Ona zerwała się odeń, wyskoczyła z bryczki i przypadła do ciemnego domowiska.

Rozległ się stukot lekki. Konie parskwały. Po chwili poszmerem odpowiedziało domowisko.

Juliusz wówczas głowę w dłońiach ukrył i pytał daremnie: czemu, ach, czemu odeszła go, czemu...

Naraz jakiś głos, jak dzwon mocny, jak zew pobudki, metalem brzmiały, zawołał:

— *Giwi Żemaytiay!*

— *Giwi Żemaytiay!!*—huknęło w odpowiedzi domowisko.

Las odmruknął przeciagle.

Juliusz podniósł głowę.

Domostwo rozwarło swą gardziel i łysnęło pochodniami. Gromada ciemnych postaci wysypała się zeń i wśród bezładnych okrzyków otoczyła Emilię. Emilia przemówiła. Płomienie pochodni zwarły się, skupiły.

Juliuszowi serce zamarło. Nie pojmował, nie rozumiał, dlaczego, ale widział, że ta ciemna gromada wszystkie jego pragnienia chce pogrześć, że chce mu ją odebrać, zagarnąć na wieki...

— *Giwi Żemaytiay! Giwie Ew-milia, grafianka!*

Bryczka pochyliła się. Hrabianka usiadła znów przy nim. Konie zawróciły... Wicher teraz wprost po twarzy go smagał. W oddali raz jeszcze zabrzmiały okrzyki, a zresztą noc, noc przepastna i monotonna, grobowy okrzyk wicheru. A potem ziąb, wskrósł przejmujący i izawe echo zabłąkanego głosiku Maryi Raszanowiczówny.

Rubaszny śmiech Półnosa wyr-

wał Juliusza tym współsensnym obrazom.

— Cha-cha! A toż dobrodziej trzydniówkę myśli odprawiać! Więc nie przeszkadzam! Śpij dobrodziej zdrów.

Grużewski zawstydzził się.

— Proszę wybaczyć, duchem wstaję.

— Co do wstawania, to dobrodzieja nie namawiam, lepiej przeleżeć jeszcze.

Juliusz, zważając na radę Półnosa, dzwignął się rażno, lecz w tejże samej chwili ból suchy, drętki poraził mu mięśnie w lewym ramieniu i rzucił go na wezgiłowie.

— A widzisz dobrodziej! a widzisz! Trza wywczasu. Nic ważnego. Cyrulik z raz jeszcze dobrodzieja opatrzy i będzie prawie. Przypomniałem dobrodziejowi, aby dla rozczmychania. W obojczyk cię lignął. Kto?! Juści koń. I dobrze, że choć w wodzie, inaczej złamał by ci, co nie trza. Nie czułeś? Cale mi nie dziwno. Gorącość dobrodzieja trzymała, i krew w obojczyku nie miała czasu skisnąć. Byłe cierpliwości kruszynę, a do pory wnet dojdiesz. Lepszego starania i u pani matki byś nie miał. Pani podkomorzyna bardzo na dobrodzieja łaskawa.

Grużewski zaniepokoił się nie-szczerze.

— Jakże bo mógłbym naprzykrzać się hrabinie Plater...

— Nie Plater, jeno Zyberg.

— Więc Zyberg, przytem ludzi wyprawilem do Lucyna i w Kielmach zgoła trwożyć się będą...

Półnos machnął ręką.

— Głupstwo, dobrodzieju. Najtyczanka twoja z tobołami i drabami wyleguje się już na hrabskim podwórzu. Do Kielm tutejszy marszałek pacholika wyprawił z grzeczną nowiną, żeś dobrodziej w Liksnie popasem stanął.

— Ależ chyba pan dworujesz sobie!

— Ani trocha, a chcesz, to ci marszałek wyprawi ekskuzę i do imci pana Marcina Karnickiego, a bodaj i do panny, do której rwałeś się dobrodziej.

Juliusz poczerwieniał, jak burak.

— Ja? Do panny? Ja!?

— Powiadałeś!..

— Ja powiadałem? Ja?!—zaciętrzewił się Grużewski, czując, że mu rezonu braknie.

— Tak mi się zdało, ale na swata się nie piszę. Baczyłem jeno, abyś dobrodziej lada sprawą się nie turbował. Z czem innem zresztą przybyłem. I nie umyślnie, bo cale niespodzianie dowiedziałem się o dobrodzieju od tutejszego marszałka. Inaczej bym dobrodziejowi się nie naprzykrzał. Otóż chciałem dobrodzieja przestrzedz, abyś Werculina unikał.

— Werculina!

— Ponieważ z mego niejako powodu przypiął się do dobrodzieja, tedy...

— Zmiarkowałem odrazu i wcale mi się na przyjacielstwo nie zbiera.

— Chwałę przenikliwość, a gdyby się w Kielmach zjawił, radę politycznie go zbyć, — niebezpieczny człek i mściwy.

— A cóż mnie taki tam!

— Nie tylko dobrodziejowi, ale każdemu. Doniesie, cobądź i, nim się wytłumaczysz, do żywego dojmą.

— No, no, uspokój się pan. Grużewskiego nie sięgnie.

Półnos wstał i do odejścia się zbierał.

— Lepiej nie probować. Gdybyś dobrodziej zważał wokół, to już byś niejedno chwycił. Kłaniam uniżenie.

— Pozwól pan,—zagadnął niepewnie Juliusz, któremu naraz tłum pytań do głowy uderzył — pozwól pan, więc pan tu, w Liksnie, na urzędzie...

— A dobrodziejowi skąd taka myśl!

— Bo widząc pana tu, w pałacu...

— Przypadkiem i z łaski marszałka, który mnie do dobrodzieja wpuścił. Ale widzę, ciekaw. Konie żeśmy dobierali. Onoszko, co gospodę w Iłkuszcie trzyma, zawziął się koni wyszukać dla oficerów z Warszawy. A rzecz była trudna, bo szło nie tylko o gniadosrokate, ale i tak rozmaite, aby po pęcinie lub gwiazdce na łbie rozeznać i szwadron, i pluton, czy jak tam. Na jarmarku zaś jeden gniady sro-

kacz się znalazł, lecz i ten dychawiczny. Onoszko do mnie. A że człek tędy i owędy po świecie się włóczy, więc z panami oficerami dalej od dwora do dwora. I tak trafiliśmy do Liksny. Szkoda, żeś dobrodziej nie był. Z podziwu byś nie wyszedł, jak porucznik Zabięło żrebca zażywał. Kto żyw, wyległ poglądać. Był ci jeden dyneburczyk, ponoć baron, ten bo aż szczękami kłapał ze zdumienia. Sama pani podkomorzyna na ganek wyszła i dopieroż, jak do prezenty, który Zabięło, skąd, tedy i powinowactwo się znalazło przez Kossakowskich.

— Z Platerami.

— Nie, z Zybergami, bo syn pana stolnika żmujdzkiego z Zabięłówny, ożenił się...

— Czy i panna hrabianka była obecna?—przerwał Juliusz.

— Panna hrabianka? nie uważałem—odparł cierpko Pólnos—nie mam honoru. Bywaj zdrów, dodrodziej.

W tem miejscu Pólnos skinął Gruzewskiemu i, zanim ten odezwać się zdołał, wyszedł z komnatki.

Juliusz nie próbował nawet zastanawiać się nad odwiedzinami Pólnosa i jego nagłym oddaleniem się. Zamówił się dla gadulstwa, chciał pochwalić się przed marszałkiem zażyłością z Gruzewskim i konieć. Uraził się może o brak powolności dla rodowych bajdurzeń, mniejsza z tem. Lepiej że sobie poszedł, że go zostawił własnym myślom.

A do tych myśli pilno było Juliuszowi, ile że płały mu się nie-

sfornie i, miast snuć się gładko, spazmatycznymi skokami rwały mu wątek. I Gruzewski skupił się w sobie i mózg natężył. Aliści, zaledwie nad Dźwiną hrabiankę zoczył, wnet pytania, na które odpowiedzi nie miał, jęły mu mącić ład i pracę udaremniać. W ostatku, liczba pytań nierozwiązalnych tak spotężniała, że Juliusz musiał zaniechać próżnego trudu. Ale tem się nie frasował teraz. Wszystko, co przeżył, co widział, słyszał, to naniżał skrupulatnie. Brakło mu mnóstwa wiadomości, lecz przecież był w Liksnie. Byle zreczniejsze odezwanie się do którego z domowników—i już żadnych przypuszczeń, żadnych domysłów.

DCN.

Władysław St. Reymont.

## MARZYCIEL.

18

Widział jej postać wyniosłą, otuloną w białe futro, szła, nieco pochylona, jakby pod ciężarem czarnych, ogromnych włosów, wieńczących jej głowę, i każdym wymijającym oknem spoglądała na niego z uśmiechem.

Poszedł machinalnie za nią, za jej spojrzaniem, za jej zagadkowym, dziwnym uśmiechem, szedł, pełen drżenia jakichś oczekiwań.

Stała w otwartych drzwiach wagonu, tuż przed nim; nie wierzył własnej radości, ni oczom olśnionym. Dosłyszawszy niski, śpiewny głos, obejrzał się za siebie, nie było nikogo i podszedł bliżej bardzo nieśmiało, prawie z lękiem.

— Dlaczego stoimy tak długo?

Nie potrafił przemówić, krztusił się tylko i oblewał rumieńcem.

Biała księżniczka uśmiechnęła się znowu i ściągając czarne, królewskie brwi, wparła w niego fijołkowe, wielkie oczy i zapytała rozkazująco:

— Czy dojedziemy do granicy?

— Z pewnością! tylko z małym opóźnieniem! Miał głos schrypnięty od wzruszenia. Patrzyli w siebie przez długą chwilę, i Józio tak się zamodlił do niej oczami uwiel-

bienia i podziwu, że drgnęły jej usta i przez białą, prześliczną twarz przeleciał różowy cień; otuliła się futrem jeszcze szczelniej.

— A śnieg nas nie zasypie gdzie w drodze?

— Nie! Nie może być!

— Dziękuję panu. I stała, jakby oczekując na jego słowa, brwi napięły się jej, jak groźne łuki, ale fijołkowe oczy wciąż patrzyły w niego bardzo łaskawie i wyczekująco, lecz cóż, kiedy nie wiedział, co mówić; tysiące słów i myśli przelatywało przez mózg i drżało na ustach, rozgorzałe oczy padały jej do stóp hymnem zachwycenia, serce tłukło się oszalałe, a nie mógł wyrzec ani jednego słowa. Po chwili uśmiechnęła się po raz ostatni i odeszła...

Przeklinał własną nieśmiałość i niedołość, było mu bowiem strasznie żal tej jedynej sposobności, może już na zawsze straconej.

— Stałem, jak bałwan! Trzeba być najostatniejszym z idiotów!—wymyślał sobie, ale było już za późno na powetowanie, gdyż pociąg zaraz odszedł.

Patrzył za nim, póki mu nie zginął w mrokach i zamieci.

— Prawdziwe amatorstwo ilir-

tować na taką pogodę!—krzyknął mu zawiadowca.

— Była i niema jej! Znikła, jak sen!—dumał żałośnie Józio, lećcąc nagle wezbranem rozręsknieniem w zawieję; pod powiekami miał gorzkie i palące łzy.

— Ale wspaniała! Frontowa kobieta! Biust, panie tego, jak materac sprężynowy.

Józio odwrócił się do niego i rzekł z przekąsem:

— Jabym nie wypuścił pociągu, może ugrzęznąć w zaspach!

— To będzie pan miał sposobność ratowania księżniczki!—zaśmiał się, uciekając przed wichurą.

Józio wrócił do kasy, zdał służbę i poszedł do telegrafu.

— Jak tam na linii w stronę granicy?

— Na drugim numerze już stoi zasypiana towarówka; będzie ich więcej...

— Czy aby ekspres przekopie się do Rudki!—szepnął więcej do siebie.

— Na pewno stanie w przekopie pod lasem! Zawiadowca się uparł i wypuścił go, będzie miał za to kapelus!

Poleciał na peron i, mimo przemijającego zimna i zamieci, zasypu-

jącej mu twarz, przyciśnięty do węgła stacyi, patrzył z trwogą w ciemności, ożenione z szaleństwem i taczające się w straszliwych wirach po świecie; niekiedy, gdzieś jakby zawieszony w powietrzu, błyskały na mgnienie światła semaforów.

— Nie wiecie? doszedł już ekspres?—pytał znowu, tylko jakoś niespokojniej.

— Nie wiem, bo telegraf przerwany; ale jużby powinien dojść!

Czas mu się przeokropnie dłużył, — że tłukł się po stacyi, coraz więcej zgorączkowany i strwożony, lecz równocześnie opanowywało go słodkie, upajające marzenie: oto zdało mu się, że już widzi ekspres, zasypany śniegami, że słyszy jakiś straszny krzyk, targający się wśród wichury, że już leci na ratunek przez rozszalałe zamieć ciemności i woła:

— Księżniczko, to ja! Księżniczko!

I spręzał wszystkie siły, i przemagał niemożliwości, rozrzucił olbrzymie usypiska śniegów, rozdzierał ściany wagonów, druzgotał przeszkody i szukał wciąż pod rumowiskami, szukał niestrudzenie! Krzyk był już coraz bliższy i coraz słabszy, że ogarniało go szaleństwo i walczył jeszcze zapamiętałej, aż znalazł ją nareszcie. Leżała biała, cudna i omdlała, porwał ją na ręce, wydierał śmierci, unosił gdzieś we świat słoneczny.

— Księżniczko, to ja! Księżniczko!—krzyczał w śmiertelnej trwodze rozpaczy i nadziei. Aż biała księżniczka otworzyła fijołkowe oczy, uśmiechnęła się słodko i szepnęła niskim, śpiewnym głosem, przytulając się do niego.

— Dziękuję panu! Dziękuję! Jakby już umierał z niewypowiedzianego szczęścia.

— Febra pana trzęsie, to może mocnej z angielskimi kroplami? — pytał się jakiś znajomy, rzeczywisty głos.

Oprzytomniał, stał przy bufecie, a uśmiechnęta panna Marychna lała gorzałkę w kieliszek. Zachwiał się, jakby marzenie jego dostało w twarz.

— Co panu? Niech pan idzie za szafę, zrobię krupniku z miodem, napiję się pan i zaraz przejdzie! Tam niema nikogo!—prosiła, zaglądając mu w oczy.

— Naczelnik prosi pana kasyera do kancelaryi!—wrzasnął ktoś do sali.

Józio spiesznie poleciał; na stacyi mimo zawieruchy i ciemności, panował niesłychany rwetes i zamieszanie—ludzie biegali znerwowani, jakieś głuche szczęki niosły się od maszyn, wyprowadzanych z remizy.

— Co się stało?—pytał wpadając do zawiadowcy.

— Niech pan słucha.

Jakiś robotnik grzał przy piecu sine, skostniałe ręce i szeroko roz-

powiadał: ...juści, w przekopie! Rozparł się, kiej cielna krowa, i stoi! Pasażery to jaże kwiczą ze strachu! Pan dozorca me zawołał i powiada: Leć, Wicek, choćbyś miał pogubić kulasy i powiedz panu naczelnikowi, coby zaraz przystali la ludzi jadła i gorzałki, to powiada, pociąg się do rana odkopie! Gnałem, że dziw—duszy nie wytrzymałem, jeno że zrazu to bez te zadymkę zbiłem się z drogi. A tu tak wieje, tak kręci, tak dmie, że myślę sobie: źle z tobą, sieroto...

— Rano depeszowałem, żeby bronić przekopu wszelkimi siłami!—odezwał się groźnie naczelnik oddziału.—Czy dozorca postawił ludzi w przekopie?

Chłop puścił piec, wyprężył się i wyrzekł bardzo śmiało:

— Dyć od świtania ze dwieście narodu barowało się z zakórkami, ale szycko na darmo, bo co się łopatę śniegu wyciepnie, to wiatery sto przyrzuci. Hale, zwojuje ta kto wicherzysko! Chłopy już do cna pomglały i mówią, co przez dopłaty i gorzałki robili nie będą.

— Panie Józefie, chce pan pojechać na linię?—zwrócił się do niego naczelnik.

— Z przyjemnością, jeszcze nie widziałem zasypanego pociągu.

— Maszyny zaraz będą gotowe. Dopilnuje pan rozdziału żywności.

— I zbawi pan swoją księżniczkę!—dodał ciszej zawiadowca.

DCN.

de Larmandie.

## PRÓBA WSKRZESZENIA.

6

VIII.

Netzah podniosła raptownie czarę do ust i z chciwością przełknęła jeden haust napoju. Potem wyrzuciła z siebie długi spazm zdławiony, podobny do charczenia zwierzęcia duszonego. I zwała się wtył na podłogę, jak rażona piorunem: ciało strącone przeszły cztery drgania, czasza porzucona oblała białe okrycie, rzekłbyś: ofiara mordu, pławiąca się we krwi. Potem jeszcze kilka drgnień konwulsyjnych, ramiona zdrętwiałe podniosły się, by opaść znowu. Skurcz straszny ściąga-

nał usta rozdziawione—i oczy, nad miarę otwarte, wytoczywszy się ze swych orbit, utkwily się w czarnoksiężnika, straszne i obłądne. Potem już nie poruszyła się.

— Boże! — wyszeptał Chesed przerażony.

Yesod oświadczył chłodno i bez wzruszenia w głosie:

— Dziesięć gramów strychniny! To dosyć, by za jednym zamachem uprzętnąć wszystkie histeryczki z Salpêtrière. No! nie pijmy naszych czas!

— Ach!—począł Chesed osłupiały.

— Przyznasz chyba, że to był gest niezbędny. Przykro mi, że był do tego zmuszony. Byliśmy, to oczywista, narażeni na prawdziwe niebezpieczeństwo.

— Tak! Uniknęliśmy go ślicznie! Co za noc!

— Zanotuj prędko szczegóły tej krótkiej agonii. Biedny twój kartelus! Uchowaliśmy go także od losu niesławnego.

— Czy myśl ta ratowania się przyszła ci raptownie, mistrzu?

— Przyszła mi w porę. Rozumiesz chyba, że moja rezygnacja śmierci pod chłostą tych rąk strasz-

nych była tylko pozorną. Musiałem zachować nasze plony dla wiedzy, a nasze osoby — dla nas samych. Beznamiętność jest maską, bardzo piękną maską, w którą dobrze jest zaopatrzyć się, którą okryć twarz czasami jest rzeczą zaszczytą i ceną; wierzyć mi atoli, że to tylko maska, nic innego. Wszystkie me instynkty, wszystkie poziome władze mej duszy, wyznają, tańczyły straszną sarabandę, były na pastwie przestrachu, zamętu Waterloo. Tylko że ja jestem nieco silniejszym wodzem nad swą armią, niż był nim Napoleon nad swoją. Wstrzymałem psiarnię w ucieczce, pościagałem i zapanowałem nad bandą pierzchającą. Jesteśmy żywi, wolni, zwycięscy, zwycięstwem najpiękniejszym, jakie kiedy odniesiono. Bardziej odporni, niż Ikar Baudelaire'a, którego ramiona połamały się, dosięgając obłoku, jesteśmy wolni zgola od pomsty, iżeśmy ujarzmili mare.

W mgłę jutrzni bladej i chłodnej, wgłębieni w część górną jednego z tych pojazdów pogrzebowych, które mają jednocześnie miejsca dla żywych i dla umarłych, Yesod i Chesed jechali ku przybytkowi krematorium; koń czarny krokiem ciężkim i uroczyстым, z powolnością nadzwyczajną, wioził smętlive pudło, dla trupów przeznaczone. Yesod, spokojny i zdecydowany, nie okazywał nazewnątrz nic ze wzruszeń, które go mogły nurtować; patrzył przed się, jak żołnierz, który idzie do ataku. Na twarzy ucznia, przeciwnie, rozlany był mętny niepokój. Widocznie nie miał ufności całkowitej, by strasza ta przygoda miała być już rozwiązana, i rozmyślał, jak się ona zakończy. Mistrz jego bez tłumaczeń rozkazał mu wziąć szpadę; sprawował tedy broń tę, której użytku nie przewidywał, z uczuciem niepokoju, jaki ogarnia ludzi w obliczu zagadki. Czarnoksiężnik spostrzegł nareszcie rozterkę swego ucznia.

— To szpada tak cię intryguje?

— Trochę tak.

— Co za niedomyślność! Ach, ty bakalarzu — a nawet licencyjacie, jeśli się nie mylę, nauk fizycznych; musisz wiedzieć chyba, jaką rolę grają ostrza w elektryczności.

— Naturalnie.

— Otóż — ileż ci razy mam to powtarzać, że odkąd mamy do czynienia z hyperfizyką, w imię analogii, całkiem racjonalnej, i tu ostrza, które służą tam do ściągania fluidu elektrycznego, rozpraszają zasoby fluidu astralnego — a my właśnie winniśmy się obawiać tych ostatnich.

Uczeń wznosił na swego nauczyciela oczy zdziwione.

— Najzupełniej tak — ciągnął alchymista. — Drugie wyzwolenie z ciała medyum naszego nastąpi znacznie prędzej, niż pierwsze; gdyby nie to, nie zarządziłbym tego spalania, które w zasadzie potępiam. Jestem atoli pewien, że przy pierwszym dotknięciu płomieni ciało fizyczne wytchnie z siebie w ciągu paru sekund kształt astralny i że w ten sposób Netzah będzie miała minimum swej gehenny pośmiertnej. Za to atoli małe, którego doświadczy, będzie chciała dojąc nas — i w rezultacie, bez tego podstępów wojennego, moglibyśmy zginąć bardzo marnie. Jest rzeczą niewątpliwą, że będzie chciała nas zgubić. Może wywrzeć na nas swój wpływ szkodny lub opętując nas, lub biorąc w posiadanie za pomocą swego odłączonego ciała astralnego. Należy się ustrzedz końca tej próby, który mógłby być wielce nieprzyjemnym. Gdy zwartość fluidyczna ukaże się, co jest prawdopodobnem, wystawimy przeciw ostrze szpady; wtedy szczeźnie — i *Linga-szarira*, jak mówią hindusi, wyzuta z czterech żywiołów fizycznych, pójdzie odbudowywać się boleśnie — w innym świecie.

— Pojedynek z widmem! — zawołał Chesed.

— Oczywiście, — szermierka ta nie trwoży mnie.

## IX.

W kilka minut później, na terenie żaloznego przybytku spopieleń, przed strasznym aparatem, pożercą form i substancji, nad trumną stało czterech ludzi: dwaj uczeni i dwaj służący podrzędni, których zajęciem jest przekształcanie trupów w garstkę popiołów. Sala była słabo oświetlona, fantastyczny jej wygląd sprowadzał niepokój i drżenie. Yesod począł mówić pierwszy, a głos jego drzał zlekka:

— Ile czasu potrzeba wam na to? — zapytał, zwracając się do wykonawców pogrzebowych.

— Koło czterdziestu minut, panie doktorze — odrzekł starszy z woźnych.

— Zaczynajcie tedy!

Służący zbliżyli się do trumny. Naraz dało się w niej słyszeć trząsnięcie: zatrzymali się.

— No, cóż takiego? — zapytał czarnoksiężnik nieco gorączkowo.

I znowu rozległy się szmery, jak gdyby ktoś odwewnątrz starał się rozsądzić deski.

— Może ona nie umarła — rzekł jeden z posługujących.

— Głupstwo! — zawołał Yesod

hałaśliwie. — Akt zejścia sporządzony w merostwie!

— Ale tam się coś rusza wewnątrz — zauważył służący.

— Phi... może... gaz... a może jaka mysz wypadkiem...

— Pan sędzi, panie doktorze?

— Dalej! pospieszcie się. Czy mam tu jeszcze sprowadzić wojsko, żeby wam wybiło ostatni werbel pozgonny?

Służebni złożyli pudło śmiertelne na platformie ruchomej.

Trumna jakoby pomknęła się sama.

Służący pobledli, opuścili ręce, poglądając na siebie z przestrachem.

— Kłąć do pieca! — rozkazał Yesod — zabieracie nam tylko czas drogi.

Rozkaz ten, z mocą wydany, przełamał ostatnie skrupuły ludzi, powołanych do spalania szczątków ludzkich.

Platforma ruszyła, trumna zniknęła i drzwiczki żelazne zamknęły się z hałasem.

— Cóż? zaszczepione? — stwierdził Yesod i zwrócił się do swego ucznia, który miętosił nerwowo rękojeść szpady, zapytując się w myślach: jakie jeszcze ich spotka nowe i strasne dziwowisko?

Odpowiadał jedynie bełkotaniem i skinieniem głowy.

— Dalej! Ognia! — rozkazał alchemik tonem, który nie dopuszczał oporu.

Służebni przy przyrządzie spełnili rozkaz: naprzód obito się o uszy trzaskanie drzew, a potem ozwało się wycie, wściekle i rozpaczne, jak wycie głuche wielkiej bestyi dzikiej, śmiertelnie ranionej.

— Boże! — wykrzyknęli jednocześnie obaj posługacze.

— Cóż takiego? — zapytał Yesod, którego powieki tylko nieznacznie zadrgały.

— Ten krzyk, to wycie?

— Gdzie? co?.. żadnego krzyku nie słyhać.. zwykłe działanie płomienia gwałtownego na drzewo surowe. Administracja tego zakładu robi oszczędności nawet na tych biednych nicponiach, którzy już ją nigdy nie będą kosztowały.

I dodał, zwracając się do Cheseda:

— *Miserabilis reliquia vitae* — jak mówi Pliniusz naturalista.

A potem, ciągnąc dalej, zwrócił się do spalaczy:

— Macie tu po ludwiku. Idźcie sobie wypić. Zostawcie nas samych na pół godzinki. Będziemy tu obserwowali.

Służący wyszli stropieni.

— I ani słowa o tem, co tutaj się działo! Mogliby nas źle ludzie zrozumieć...

— Podług rozkazu, panie doktorze!

Yesod i Chesed pozostali sami lico w lico stanowcze ze swą przeciwniczką z za grobu. Wycie niedawne, straszne, krótkie, chrapliwe, już się nie powtarzało. Słychać było obecnie jedynie kurczenie się i hurkotanie biernego ciała, kąsanego i pochłanianego przez płomień.

— Czy ona bardzo cierpiała, mistrzu? — zapytał Chesed z nutą przerażenia w głosie.

— Bardzo niewiele—zapewnił alchemik. — Nie więcej nad jedną sekundę. Ciało astralne oddzieliło się prawie natychmiast w swem wtórem odejściu. Pozostaje nam obecnie oczekiwać ukazania się tego ciała, a szpada twoja będzie nam wtedy służyła do obrony. W tym właśnie celu usunąłem tych dwóch głupców; wzięliby nas za wa-

ryatów, lub sami mogliby dostać pomieszania.

— Czy będą aby milczeli?

— Jak im się podoba. Gdy to się skończy, kpię sobie ze wszystkiego.

Naraz Chesed wyszeptał:

— O, o! patrz, mistrzu!

Ponad piecem krematoryjnym zarysował się cień ulotny, wyobrażający kształt ludzki, opowity wmgłą, zlekka świetlistą.

— Otóż i ono! — rzekł Yesod spokojnie. — Dawaj szpadę!

I z ostrzem wzniesionem, krokiem pewnym, szedł na widmo, które zdało się wolno przybliżać. Brawując aż do końca, zawołał:

— Brakuje nam tylko człowieka i dwóch masek, by pojedynek był prawidłowy.

Widmo musnęło szpadę. Zatrzymało się. Ozwało się jęknięcie długie, żalosne, jak westchnienie ostatnie najwyższych nut organowych podczas Podniesienia.

I widmo poczęło rozplýwać się w mgłę coraz bardziej niewyraźną. Nie upłynęło minuty, gdy cień zniknął bez śladu i szmer zamarł zupełnie.

Yesod odetchnął, pełen zmęczenia i nudy.

— Nareszcie!

Z temi słowy rzucił szpadę na ziemię, jako oręż zbędny.

Chesed podniósł ją, okrzykując:

— Hura! Cześć zwycięzcy żywych i umarłych!

— O, o, o! — hamował Yesod, potrząsając głową.

— Chwała Yesodowi, wtóremu Trismegście!

— Pokój Chesedowi nerwowemu. A tymczasem—pora już, byśmy coś więcej włożyli do ust, niż ciało astralne — zakończył czarno-księżnik z ironią wyniosłą tych mów, co zwykli celować rozumem.

KONIEC.

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

20

Batucz obserwował Androwskiego z pod arkady i zauważył raptowną zmianę jego wyrazu i całego zachowania.

— Nie wiedziałem, że to jest pański pies, w przeciwnym razie nie ruszałbym go wcale—rzekł Androwski.

Bu-Bu począł znów tańczyć u jego stóp. Odepchnął go raczej szorstko i skierował się z powrotem ku arkadzie. Ksiądz spojrział zdziwiony i zlekka dotknięty. W tej chwili rozległ się głuchy tętent kopyt końskich na drodze, i Domini, galopując, podjechała z powrotem pod hotel. Twarz jej promieniała, oczy się iskrzyły. Skłoniła się księdzu i skierowała ku drzwiom hotelowym, gdzie stał Androwski.

— Kupuję go—rzekła do Batucza, który rósł z zadowolenia na myśl o komisowem.—I zaraz jadę na daleką wyprawę, hen, w pustynię.

— Pani nie pojedzie sama, proszę pani!

Był to głos księdza. Uśmiechnęła się do niego wesoło.

— Czy mam się obawiać, że mnie porwą nomadzi, proszę pana?

— Nie jest to rzeczą bezpieczną dla pani, proszę mi wierzyć.

Batucz wystąpił naprzód, żeby poprzeć księdza.

— Ja jestem pani przewodnikiem. Mam już konia osiodłanego, żeby pani towarzyszyć. Posłałem już po niego, proszę pani.

Jeden z chłopców arabskich biegł już istotnie, co sił, w kierunku ulicy Berty. Twarz Domini naraz się zamroczyła. Obecność przewodnika odbierze cały urok tej uciechy, której dreszczów zakosztowała już świeżo w krótkiej przejażdżce galopem. Żyła teraz pragnieniem szczęścia.

— Nie potrzebuję ciebie, Batucz—rzekła.

Lecz poeta był nieublagany, czując za sobą plecy księdza.

— To jest mój obowiązek towarzyszyć pani. Odpowiadam za pani bezpieczeństwo.

— W rzeczy samej, pani nie może jechać samą w pustynię — rzekł ksiądz.

Domini spojrzała na Androwskiego, który stał w milczeniu pod arkadą, nieco odosobniony, patrzący nieporęcznie i na straży siebie. Na drodze od ulicy Berty rozległ się tętent galopującego konia. Czyściubt wracał gwałtownie, bełtając gołemi nogami z obu stron ogniściego kasztana z potoczystą grzywą i ogonem.

— Panie Androwski—rzekła.

Androwski drgnął.

— Pani!

— Czy nie zechcesz pan pojechać ze mną w pustynię?

Twarz jego oblała się szkarłatem, postąpił krok naprzód, patrząc na nią.

— Ja? — rzekł z akcentem ogromnego zdziwienia.

— Tak jest. Czy chcesz pan?

Kasztan wpadł, jak grom, i został ręczo osadzony na tylnych nogach. Androwski spojrział na niego zębocza i zawahał się. Domini pomyślała, że odmówi jej, i żałowała teraz, że go prosiła, żałowała tego bardzo.

— A niech tam! — rzekła prawie brutalnie w udręce, iż to zrobiła.

— Batucz!

Poeta miał już wskoczyć na konia, kiedy Androwski ujął go za ramię.

— Ja siadam—rzekł.

Batucz spojrział niezyczliwie.

— Przecież pan mówił, że pan nie...

Zatrzymał się. Ręka na jego ramieniu sprawiła mu ból; odczuł, jak gdyby kleszcze stalowe chwyciły jego ciało. Androwski zbliżył się do kasztana.

— O! to siodło arabskie—rzekła Domini.

— Nie szkodzi, pani.

Twarz jego była surowa.

— Czyś pan z niem obyty?

— To mi wszystko jedno.

Ujął uzdę i włożył nogę w górne strzemię, lecz tak niezgrabnie, iż uderzył konia w bok. Koń ruszył.

— Baczość! — rzekła Domini.

Androwski wsiadł i wgramolił się jakoś na siodło, spadając na nie ciężko, z łoskotem. Koń, całym teraz spłoszony, wspiął się

gwałtownie, a potem wyrzucił za-  
dem. Androwski został odrzucony  
na wysoki czerwony łąk siodła  
i rękoma tknął szyi konia. Poczę-  
ła się walka. Szarpnął gwałtownie  
rzemienie. Koń rzucił się wtył,  
stał dęba, zбочzył się, jak gdyby  
chciał pomknąć. Androwski został  
wyrzucony i spadł ciężko na prawe  
ramię. Batucz pochwycił konia,  
podczas gdy Androwski podniósł  
się. Był cały biały od kurzu. Kurz  
okrywał także jego twarz i jego  
krótkie włosy. Patrzył z pasją.

— Pani widzi—począł Batucz,  
zwracając się do Domini, — że pan  
nie...

— Dawaj uzdę! — rzekł An-  
drowski.

Głęboki głos jego zdrzął  
dźwiękiem strasznym. Patrzył nie  
na Domini, lecz na księdza, który  
stał nieco opodal z wyrazem zmie-  
szania na twarzy. Bu-Bu szczekał  
gwałtownie na cały ten zatarg. An-  
drowski ujął uzdę, z rodzajem  
wściekłego postanowienia skoczył  
na siodło i ścisnął boki konia no-  
gami. Koń wspiął się. Ksiądz po-  
dał się wtył, pod drzewa palmo-  
we. Chłopcy arabscy rozpierzchli  
się. Batucz szukał schronienia pod  
arkadą, a koń, z krótkim, rozpacz-  
nym zarzeniem, które było jak  
krzyk burzy, pomknął pomiędzy  
trzony drzew z kopyta na pustynię  
i zniknął za mgieniem.

— Zabije się—rzekł ksiądz.

Bu-Bu zaszczekał junacko.

— Sam będzie winien — rzekł  
poeta.—Sam mi mówił przed chwi-  
lą, że nie umie jeździć.

— Czemuś mi nie powiedział  
tego?—zawołała Domini.

— Pani...

Ale jej już nie było. Ruszyła  
za Androwskim lekkim galopem,  
w obawie, by koń jej nie przestras-  
zył, nadjeżdżając, konia Androw-  
skiego. Wyjechała z cienia palm  
na słońce. Przed nią była pustynia.  
Zbadała ją bacznie oczyma  
i ujrzała konia Androwskiego da-  
leko w łożysku rzeki, wciąż galo-  
pującego na południe, ku tej krainie,  
o której mówiła mu na wieży, że  
mniema, iż tam gości pokój. Wyglą-  
dało to, jak gdyby uwierzył jej na śle-  
po i junacko szedł na poszukiwanie  
pokoju. A ona dąży oto za nim  
poprzez oślepiającą słoneczność.  
Była nareszcie w pustyni, poza  
ostatnim pasmem zieleni, poza osta-  
tnią linią palm. Wiatr pustyni  
owiewał jej lico, igrał z jej włosami.  
Rozłogi pustyni roztaczały się  
dokoła niej. Pod kopytami jej ko-  
nia leżały iskrzące się kryształy  
pomarszczonej, spalonej słońcem  
ziemi. Skały czerwone, pozszywa-  
ne wielu cieniami barwnymi, które

świadczyły o pierwotnych ogniach  
i o nieustannem działaniu gorąca,  
stłaczały się nad nią. Oczy jej  
atoli były utkwione w daleką pla-  
mę ruchomą: plamą tą był koń,  
niosący szalenie Androwskiego  
w kierunku południa. Światło i żar,  
dech wielki, uczucie zmiany—upa-  
jały ją. Podcięta konia szpicrutą.  
Skoczył, jakby przesadzając nie-  
zmierzoną przeszkodę, opadł ła-  
godnie i pomknął naprzód w sza-  
lonym galopie ku tajemnicy błysz-  
czącej. Czarna plama stawała się  
większą. Doganiała ją. Pokruszo-  
na ława skalna na lewo od niej  
odstłoniła urwisko, na którym nikła  
ścieżka wiodła dziko w górę ku  
płaszczyźnie, która była poza niem.  
Skierowała tam konia i wyjechała  
wkrótce pomiędzy drobne wzgórki,  
na których rosły chwasty i krzaki  
tamarysków. Szary piasek prze-  
wiewał tu pośród nóg końskich.  
Androwski był ciągle poniżej niej  
na ciężkim gruncie, dokąd wody  
podchodziły falami. Dopędzała go  
wciąż bardziej i bardziej, aż była  
z nim równoległa i mogła widzieć  
jego pochyloną figurę, jego ręce  
wsparte na łąku czerwonego siodła,  
jego wyciągnięte naprzód nogi,  
stopy, wlepione w krótkie strze-  
miona z metalowymi nosami. Ogień  
konia był już na wyczerpaniu,  
z nóg jego pierzchnął już przestrch.  
Gdy tak patrzyła, ujrzała, że An-  
drowski wznosił ręce z nad łąku  
siodła, chwycił za wolną uzdę, po-  
ciągnął ją do góry, odsadził się  
wtył na siodle i całą siłą ściągnął  
konia. Koń stanął, jak wryty.

— Jak przepotężna musi być  
jego siła!—pomyślała Domini, prze-  
jęta zachwytem.

Nadciągnęła też na urwisko  
ponad nim i pozdrowiła go. Od-  
wrócił głowę, zobaczył ją i skiero-  
wał bez namysłu konia na urwisko,  
które w tem miejscu było strome  
i nie miało dostępu.

— Nie czyń pan tego!—zawo-  
łała.

On w odpowiedzi wbił pięty  
swoich ciężkich butów w boki ko-  
nia i ruszył bez pamięci. Domini  
pomyślała, że albo koń odmówi  
posłuszeństwa, albo spróbuje wsko-  
czyć i stoczy się wtył na jeźdźca.  
Dał skok i, jak kot dziki, się dra-  
pał. Wszczął się hałas od padają-  
cych kamieni, cała ulewa rozbitych  
brył ziemi posypała się w dół—i oto  
był już obok niej, biały od kurzu,  
ociekający potem, zdyszany — iż  
zdało się, pracujący oddech roze-  
rwie mu piersi, z pianą końską  
u swego czoła i z dzikim, wraz  
zwyćśkim jeszcze ogniem w oczach.

Patrzali na siebie oboje w mil-  
czeniu, podczas gdy ich konie,

stojąc spokojnie, skłoniły swe wąż-  
kie, wdzięczne głowy i dotknęły  
się nosami w delikatnym wywia-  
dzie.

— Myślałam już prawie...

Zatrzymała się.

— Tak? — rzekł on, chwytając  
wielki oddech, który był, jak spazm  
płaczu.

— ...żeś pan zajechał do środ-  
ka ziemi, lub... nie wiem zresztą,  
co myślałam. Czyś pan nie ska-  
leczony?

— Nie.

Mógł mówić obecnie tylko  
monosylabami. Ona badała wzro-  
kiem jego konia.

— Teraz nie zada on już panu  
wiele kłopotu. Wracamy?

Gdy to mówiła, poniosła tęskny  
wzrok ku dalekiej pustyni, na skra-  
ju której była ciemna zielona linia,  
oznaczająca odległe palmy oazy.

Androwski wstrząsnął głową.

— Ale pan...—Zawahała się.—

Może pan nie przyzwyczajony do  
koni, a na tem siodle...

On wstrząsnął znów głową,  
wciągnął potężnie dech i rzekł:

— Nie dbam o to. Jadę. Nie  
wracam.

Podniósł jedną rękę, starł pia-  
nę ze swego opływającego czoła  
i rzekł znów dziko:

— Nie wracam.

Twarz jego była niezwykła  
z tym wyrazem namiętnym, wy-  
zieraającym skrós pot i pył; była to  
jakby twarz człowieka, który wal-  
czył ze śmiercią, walczył na pięści.  
Tak Domini pomyślała. Była ra-  
da z jego ostatnich słów, żelazny  
dźwięk jego głosu znęcił ją.

— Jedźmy tedy.

Poczęli więc jazdę ku ciemnej  
zielonej linii oazy, wolno, po ob-  
szarze piaszczystym, pośród wzgó-  
rów okrągłych, na których rosły  
zakurzone kępy z krzewami.

— Czyś się pan nie stłukł, spa-  
dając?—rzekła.—Wyglądało to na  
złe upadnięcie.

— Nie wiem, czy się stłukłem.  
I nie dbam o to, czy się stłukłem.

Mówił prawie szorstko.

— Pani poprosiła mnie, że-  
bym z nią pojechał — dodał.— Jadę  
z nią.

Przypomniała sobie, co Batucz  
jej powiedział. W człowieku tym  
istotnie był poryw, poryw, który  
się wznosił wśród jego nieopatrznej  
niezręczności, wahania, szorstkości  
i nieumiejętności, jak skała czarna  
śród morza. Nic nie odrzekła.  
Jechali dalej, prawie wolno. Koń  
jego, poznawszy jego wolę i jego  
siłę, jako ostateczność jego nie-  
umiejętności, szedł spokojnie, cho-  
ciaż wciąż z tą powiewnością, lek-  
kością, z tem gubieniem chodu,

właściwym czystej krwi arabom, które przypomina raczej jazdę po pulchnej ziemi wiosennej, niż po twardym gruncie. Androwski też zdawał się już być nieco więcej oswojony, chociaż siedział niezgrabnie w siodle, podobnym do fotela, i chwycił się tak uzdy bez mała, jak tonący chwyci się słomy. Domini jechała, nie patrząc na niego, żeby nie myślał, iż krytykuje jego sposób jazdy. Kiedy się stoczył tam w kurzu, miała świadomość uczucia ostrego pogardy. Ludzie, z którymi przywykła obcować w swem życiu, jeździli, strzelali, grali w gry, jak mistrzowie. Sama była siłaczka i, jak wszystkie prawie silne kobiety, była skłonna do litowania się nad mężczyzną, który nie był tak silny i tak zrzeczny, jak ona. Ten mężczyzna atoli zabił w niej od razu jej pogardę swoim desperackim postanowieniem nie zostania pobitym. Poznała z wejrzenia, jakie właśnie dostrzegła w jego oczach, iż gdyby jazda z nią znaczyła tyle, co śmierć dla niego, niemniej byłby jej donosal.

Jako kobieta, lubiła hołdy, a nawet więcej, niż lubiła je.

— Koń pański idzie już teraz lepiej—rzekła wreszcie, by przerwać ciszę.

— Czy tak?—rzekł.

— Pan nie wiesz o tem?

— Proszę pani, ja nic nie wiem o koniach i o jeździe. Nie siedziałem na koniu od dwudziestu lat.

Domini spojrzała zdumiona.

— Powinniśmy tedy powrócić!—zawołała.

— Dlaczego? Inni jeżdżą... i ja chcę jeździć. Ja robię to brzydko. Proszę mi darować.

— Darować panu!—rzekła.— Ale ja się zachwycam tą pańską odwagą. Ale dla czegoś pan wszystkie te lata nie jeździł konno?

Po pewnej przerwie odrzekł:

— Nie miałem... nie miałem sposobności.

Głos jego naraz się zaciął. Nie ciągnęła dalej tej rzeczy, lecz poklepała konia po szyi i zwróciła oczy ku ciemnej zielonej linii na widnokręgu. Teraz, gdy była prawdziwie na pustyni, czuła się tem prawie jak odurzona, i jak gdyby daleko mniej ją rozumiała, niż kiedy patrzyła na nią z ogrodu księcia Anteoni'ego. Tysiące tysięcy piaszczystych wzgórków, każdy uwieńczone zakurzoną krzem karłowatym, każdy najdokładniej taki sam, jak drugi—poruszały się, jak gdyby miały wyobrażać jakąś żywą rzeszę niezmierną. Pragnęła jakiegoś punktu, który mógłby zatrzymać jej oczy w tej podróży,

lecz nie mogła go znaleźć—i w myślach swych pozostała bez oparcia, jak pływak w morzu dalekiem, który jest ścigany falami i który widzi przed sobą pianę nieustającą tego, co się tłoczyło na horyzoncie. Gdzież to ona jechała? Możnaż mieć cel w tej niezmierzonej przestrzemi? Uczuła wszechwładną potrzebę znalezienia celu—i raz jeszcze spojrzała na zieloną linię widnokręgu.

— Czy sądzisz pan, że dojeździemy aż tam—daleko?—zapytała Androwskiego, wskazując szpicrutą.

— Tak jest, pani.

— To musi być oaza. Jak panu się zdaje?

— Tak jest. Mogę jechać prędzej.

— Puść pan wolniej uzdę. Nie ściągaj pan pyska. Niech pan nie ma za złe, że mu to mówię. Całe me życie miałam do czynienia z końmi.

— Dziękuję pani—odrzekł.

— I pięty trzymaj pan więcej na zewnątrz. O, tak lepiej. Jestem pewna, że mógłbyś mnie pan nauczyć tysiąca rzeczy; niechże mi wolno będzie nauczyć pana tej jednej.

Rzucił dziwny wzrok na nią. Była we wzroku tym wdzięczność, lecz razem i więcej jeszcze: gorycz ognista, i coś dziecięcego i coś bezradnego.

— Nic nie mam do nauczania—rzekł.

Konie ich puściły się kłusa, i wraz z szybkim ruchem Domini uczuła więcej pokoju. W mózgu jej powstała dziwna lekkość, jak gdyby myśli zostały z niego wytrzęsione na wzór piór z worka. Władza skupienia opuściła ją i uczucie niefrasowności—istnie jakby cygańskie—przyszło na nią. Ciało jej, pograżone w suchem i lekkim powietrzu, jak w czystej, letniej kąpiel, nie cierpiało od palących promieni słońca, lecz czuło promiennosc i razem półomdlenie. Jechali tak, wciąż milcząc, jakby druhowie serdeczni jechali razem, odgradzeni od świata i radzi wzajem ze swego towarzystwa, dostatecznie radzi, by nie czuć potrzeby rozmawiania. Ani razu nie wydało się to dziwnem Domini, że jedzie tak daleko w pustynię z człowiekiem, o którym nic nie wiedziała, lecz w którym zauważała niepokojące rzeczy osobliwe. Nie bała się, to oczywiście, lecz to mało ważyło na jej postępowaniu. Nie oświadczając tego sobie, czuła, że może ufać temu człowiekowi.

Ciemna linia zielona ukazywała się wyraźniej poprzez blask słońca na przestrzał ślepiącej równiny.

Już można było dostrzedz w niej pewne nieprawidłowości, jak gdyby zamazane pociągnięcia pendzla, rzucane na płótno niepewną ręką, lecz nie można było jeszcze rozpoznać drzew palmowych. Powietrze iskrzyło się, jak gdyby było pełne drobnego pyłu silnie błyszczących klejnotów, a niżej ziemi zdało się drgać wirem tańczących punktów światła. Naokół była pustka i naokół—to pewne—był nieustanny ruch drobnych rzeczy życiowych, ledwie widzialnych feryi słonecznych—wyczystego igrania.

Niefirasowność Domini wciąż się zwiększała. Nigdy przedtem nie czuła tak rozkosznej wolności. Głowa i serce były lekkie, wolne od myśli i miłości. Smutne myśli i myśli poważne nie miały tu przystępu. Bowiem krew była pełna promieni słonecznych, tańczących pod lutnią Apollina. Nic ją nie obchodziło. Nawet Śmierć była tu przybrana w złote szaty i chodziła stopą powietrzną. O, tak! z tych obszarów drżącego światła i gorąca arabowie czerpać muszą swą łatwą i świetną rezygnację. Każdy tu był w rękach Boga, który prawdziwie śpiewał tu, jak był stworzył, a nie stworzył był całkiem strachu.

Upłynęło sporo minut czasu i lecz Domini nie troszczyła się ani o czas, ani o nic innego. Zielona linia pocięła się w pierzaste kępki, szerzące się wciąż jeszcze daleko odległym mrokiem palm.

— Woda!

Głos Androwskiego zdrzął przy tem słowie. Domini zatrzymała konia. Konie obojga stanęły obok i naraz, z ustaniem ruchu, spadł na nich mistycyzm pustyni i czarodziejstwo jej milczenia, tak, iż zdało im się, że są gdzieś w śnie czarodziejskim—oni i konie ich, jak z sennej krainy.

— Woda!—rzekł znowu. DCN.

#### TREŚĆ NUMERU 20-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*  
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*  
Próba wskrzeszenia. *de Larmandie.*  
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:  
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chofoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie